

Krytycy Newmana mogliby powiedzieć, że sławiony przez niego uniwersytet, wykorzystując pretekst dostarczania „celu poza wszelkim celem”, funkcjonował w taki sposób, by chronić przywileje klasy wyższej i stawiać przeszkody jej rywalom na ich drodze do awansu. Przekazywał zbędne umiejętności, które ceniono właśnie ze względu na ich bezcelowość, gdyż cecha ta przekształcała je w swoistą odznakę przynależności, na którą stać było niewielu. Daleki od rozwijania kapitału wiedzy, istniał, by chronić święte mity: wznosił ochronny mur oczarowania wokół religii, wartości społecznych oraz wysokiej kultury minionego czasu i udawał, że niezrozumiałe umiejętności, których na nim nabywano, by móc z tego oczarowania czerpać radość – na przykład łacina czy greka – stanowią najwyższe formy wiedzy. Krótko mówiąc, uniwersytet Newmanowski był narzędziem umożliwiającym trwanie klasy niepracującej. Kultura, którą przekazywał, nie była własnością całej społeczności, a jedynie ideologicznym narzędziem, dzięki któremu wokół sił i przywilejów istniejącego porządku mogła unosić się aura legalności.

Dziś, odwrotnie, mamy wyspecjalizowane w rozwijaniu wiedzy uniwersytety, których struktura społeczna nie jest po prostu nieelitarystyczna, lecz wprost antyelitarystyczna. Nie wprowadzają one żadnej dyskryminacji ze względu na religię, płeć, rasę czy klasę. Stanowią wolne od uprzedzeń i pozbawione dogmatycznej lojalności miejsca pracy naukowej i stawiania pytań, a ich celem jest doskonalenie wiedzy, które dokonuje się w duchu wolnych dociekań. Owego ducha przekazuje się studentom, którzy dysponują dziś najszerszym w dotychczasowej historii wyborem programu studiów i możliwością zdobycia wiedzy niemającej solidnego uzasadnienia, lecz wybitnie użytecznej w dalszym życiu, na przykład z zakresu zarządzania biznesem, hotelarstwa czy stosunków międzynarodowych. Mówiąc krótko, uniwersytety przeszły ewolucję od ekskluzywnych w sensie społecznym klubów służących studiowaniu szlachetnych głupot do inkluzywnych w sensie społecznym centrów szkoleniowych służących szerzeniu potrzebnych umiejętności. Kultura, którą

przekazują, nie jest przy tym kulturą uprzywilejowanej elity, lecz „kulturą inkluzywną”, którą przyswoić sobie i czerpać z niej zadowolenie może każdy.

Co powiedziawszy, zauważyć trzeba, że odwiedzającego amerykańskie uniwersytety uderzają dziś raczej różne formy tamtejszej cenzury, nie zaś klimat wolnych dociekań. To prawda, że Amerykanie żyją w społeczeństwie tolerancyjnym. Hodują jednak również czujnych strażników, gotowych wykrywać i wykorzeniać już pierwsze oznaki „uprzedzeń” wśród młodzieży. Strażnicy ci zaś mają wrodzoną skłonność, by ciążyć ku uniwersytetom, gdzie już sama wolność programu nauczania i jego otwartość na nowości dostarczają im sposobności realizowania ich cenzorskich pasji. Książki włączane są więc do sylabusów bądź z nich usuwane ze względu na polityczną poprawność; kodeksy dotyczące dozwolonego sposobu wypowiedzania się oraz usługi obrońców prawnych pełnią funkcję policji języka i myśli – tak wobec studentów, jak i wobec nauczycieli; kursy konstruowane są w taki sposób, by przekazywać postawę ideologicznego konformizmu, a wyciągnięcie przez studenta heretyckiego wniosku na temat przewodnich tematów dnia często bywa karane. W przypadku obszarów wrażliwych, jak rasa, płeć czy owa tajemnicza rzecz określana mianem „gender”, cenzura jest wyraźnie wymierzona nie tylko przeciwko studentom, lecz również przeciwko każdemu nauczycielowi, któremu zdarzy się wyciągnąć niewłaściwe wnioski, bez względu na to, jak bardzo byłby on obiektywny i sumienny.